

Teksty Drugie 2004, 1-2, s. 156-161



# Apetyt na eksces

Inga Iwasiów

## Apetyt na eksces

Książka Teresy Walas *Zrozumieć swój czas*<sup>1</sup> wejdzie z pewnością do kanonu lektur, bez których jeden z jej bohaterów, współczesny intelektualista (jakkolwiek fantomowym nie byłby bytem) nie będzie mógł się obejść. Nie zdołam przedstawić wszystkich tez tego wywodu; żeby zmierzyć się z jego niezwykle precyzyjną siatką, trzeba by pisać relację z lektury prowadzonej niemal strona po stronie. Zatrzymam się wobec tego przy kilku tezach, być może wcale nie pierwszoplanowych, dla mnie jednak najważniejszych.

Moje doświadczenie z książkami krakowskiej literaturoznawczyni jest, nawiasem mówiąc, niezmiennie takim „czytaniem marginesów” i pobieraniem korzyści poza ich głównym tematem. Być może stanowi to o wadze dzieł, które nawet na marginesach, poza zasadniczym wywodem, rozsiewają pomysły dające się zamienić w rozległe odnogi tego dyskursu, który wydaje się pierwszoplanowy dla samej badaczki. W *Ku otchłani. Dekadentyzm w literaturze polskiej 1890-1905* (1986) najważniejszy był dla mnie opis zarzewia dekadentckiego światopoglądu i estetyki, widoczny w pozytywizmie przeczytanym zgodnie ze wskazaniem fundamentalnego dzieła Henryka Markiewicza, poprzez system dialektycznych antynomii. Nie dekadentyzm młodopolski, lecz znaki zmierzchu i rozpadu wewnątrz witalistycznej koncepcji niepowstrzymanego rozwoju, która kojarzy się z filozofią i programem społecznym pozytywizmu. Również w znakomitej, jednej z ważniejszych książek teoretycznych początku lat dziewięćdziesiątych *Czy możliwa jest inna historia literatury?* (1993), otwierającej pole badawcze przez zwięzłe, kompetentne wprowadzenie w problematykę nowych (choć z przynajmniej trzydziestoletnią tradycją na Zachodzie) stanowisk metodologicznych – odnalazłam wątek bardzo dla mnie ważny. Było nim, pionierskie w polskim literaturoznawstwie, a i dzisiaj niedopowiedziane, skojarzenie feminizmu z nowym historycyzmem (taką formę terminu,

---

<sup>1/</sup> Teresa Walas *Zrozumieć swój czas*. <http://rcin.org.pl> *Kultura polska po komunizmie. Rekonesans*, Kraków 2003.

## Iwasiów Apetyt na eksces

„historycyzm”, znajdziemy w książce). Dokonane z pozycji dalekich od wyznawczych, uderza jako diagnoza trafna, mogąca też być potencjalną inspiracją dla polskich nowych historyków i feministek.

*Zrozumieć swój czas* zawiera także pewną propozycję terminologiczno-metodologiczną, która domaga się podjęcia i wypełnia lukę dyskursu, miotającego się między pokusą ponowoczesnego podejścia do mniejszości, w tym etnicznych, a nie do końca świadomym „głosem przemocy” w odmianie nacjonalistycznej. Idzie o kwestię kolonializmu i postkolonialnych metafor/metodologii, jakie mogłyby posłużyć do opisu historii, społeczeństwa i kultury Polski XIX i XX wieku. Pewne pomysły na zaadaptowanie tych kategorii przynoszą *gender studies*, a w szczególności *queer theory*, jednak nie ma do tej pory jasności, czy moglibyśmy potraktować polską kulturę jako ekspansjonistyczną w takich jej przejawach, jak na przykład mit kresowy. Z drugiej strony, kultura ta znajdowała się „pod kopułą imperium”, była więc obszarem skolonizowanym. Nie wydaje się mimo wszystko, by można było łatwo przejść założenia teorii postkolonialnej, przede wszystkim z powodu braku wyraźnie domagających się reparacji grup upodrzędnianych z przeszłości. Czyli jakich? Czy bylibyśmy skłonni je odnaleźć, dookreślić? Pewne teksty publicystyczne, przede wszystkim z kręgu „Gazety Wyborczej”, mogłyby wyznaczyć wektory tych poszukiwań. Mam na myśli głosy z „byłych kolonii”, dotyczące spraw tak drażliwych jak polskość polskiego Wilna lub „nasze sprawy” na Białorusi. Czy spraw przedyskutowanych w sposób, który mógłby zadowolić mniejszość, stanowiącą u siebie większość? Czy w taki, który miałby cokolwiek wspólnego z diagnozą wykraczającą poza resentymenty i sentymenty? Nie miejsce tu na szczególne rozważania i ujawnianie mojego sceptycyzmu w tej kwestii. Odnotowuję tylko, iż jak dziesięć lat temu nowy historycyzm w opisie Walas przesunął mi się w kierunku miejsca, gdzie pielęgnuję go do dzisiaj, tak obecnie zyskałam impuls w sprawie postkolonializmu.

Impuls odczuwam także w sprawie feminizmu, w imieniu którego mogłabym podjąć polemikę, gdyby nie to, że autorka tę możliwość projektuje i demontuje retorycznie. Oto w części zatytułowanej „*Zmierzch paradygmatu*” – *i co dalej?* dokonuje porównania fragmentu eseju o matriarchacie Jolanty Brach-Czajny z publicystką Krzysztofa Koehlera. Obie koncepcje, oba dyskursy, służą za przykłady ekscesu przecinającego niemoc kultury, dziedziczącej po oświeceniowym rozumie i romantycznej postawie. Brach-Czajna i Koehler wzywają do uwolnienia człowieka nierozumnego, rozsmakowanego w swojej cielesności: „Feministyczne zmagania z męskim logosem obejmują bowiem również spór z ratio, który toczy Koehler (choć tylko dzięki idei równości kobiety mogą dzisiaj cieszyć się różnicą), a cielesność, inercja, bezrefleksyjna, pozytywna więź z bytem to wartości odzyskiwane także przez feminizm” (s. 224).

Obie te, zdaniem Walas, zbieżne propozycje, realizować by miały „wariant głębokiego cofnięcia” w stosunku do warunków współczesnej demokracji, która poczęła, bądź tylko uwypukliła, kryzys, o którym tekst traktuje.

<http://rcin.org.pl>

## Roztrząsania i rozbiory

Choć Walas zapowiada, iż feministki i skrajny konserwatysta obruszyliby się na te analogie, muszą dwa zdania swojej niezgody na nią, a także zdanie zgody, sformułować. Pozornie analogia trafna: istotnie, idea matriarchatu jest rodzajem ekscesu dyskursywnego, opiera się przecież na wątych przesłankach materiałowych, dopowiada historię ponad historią. Nazwanie poglądów Koehlera ekscesem to posunięcie ambiwalentne, jako że całość wywodu Walas zdaje się w tego rodzaju konstrukcjach dyskursywnych upatrywać nadziei na przełamanie stagnacji (dotyczy to więc i feminizmu), jednakże trudno byłoby uważać, że autorka zdolna jest do przejścia „intelektualnych urożeń” byłego bruLionowca. Jego strategię zresztą wywodzi z estetyki szoku, której zwiastunem był „bruLion”. W jej opisie Koehler jest niezwykle inteligentnym manipulatorem, który potrafi sprostać potrzebie wyrazistości, dyktowanej przez rynek, głosząc kult sarmatyzmu, nie stroniącego od takich sygnałów cielesności jak „puszczanie wiatrów”. Otóż to. Nie sądzę, by feminizm miał gdziekolwiek propagować, rozumiane tu, rzecz jasna, symbolicznie, „puszczanie wiatrów”. Nie sądzę, by dało się utrzymać porównanie języka konserwatyzmu i feministycznego poszukiwania źródeł. Choćby dlatego, że konserwatyzm szuka tychże w historii, podczas gdy feminizm usiłuje opuścić przestrzeń historyczną, a przynajmniej budować „historyje” (tu wracam do książki *Czy możliwa jest inna historia literatury?*). Nie sądzę, by hermeneutyczny projekt Brach-Czainy był tym samym, czym utopijna apolegetyka gargantuicznych energii baroku. Trudno byłoby uważać, że Koehler ma na myśli jakiś powrót do egzystencjalnych wolności – raczej regres społeczny, zapewniający warunki do bezpiecznego pielęgnowania samoswojności, a to nie to samo. I w końcu: jego wywód nie daje głosu nieobecnym, nie poszerza sceny społecznego mówienia. Co najwyżej pozwala mówić jednemu z bohaterów, którego obecność w kulturze jest oczywista, chociaż nie wpuszcza się go na salony, choćby z powodu kłopotliwych manier. Może nawet wpuszcza, jednak nie pisuje się już o nim wierszy (na scenie politycznej sam siebie promuje i opisuje). Tym bohaterem jest nieokrzesany pieniacz, niewątpliwie mężczyzna, tak zwany sarmata. Czy miałby być partnerem dla opiekuńczej, mitycznej Bogini-Matki? Nie może nim być, jako że żyje obok nas, po prostu istnieje, podczas gdy z Boginią spotkać się możemy tylko w tekście.

Tak więc ta analogia, błyskotliwa i w pierwszym czytaniu przekonująca, jest fałszywa. Mimo to zawiera pewien rdzeń, który warto zapamiętać – wskazanie, iż w kulturze dochodzą do głosu postawy ekscentryczne, skrajnie usytuowane, mogące poświadczać chorobę głównonurtowego dyskursu lub jego nieadekwatność wobec wyzwał współczesności. Trudno się z tym pogodzić, ale wygląda na to, że te same przesłanki wyzwalają ruchy po obu stronach umownej osi światopoglądowej. Ile otwarcia – tyle zamknięcia, chciałoby się skwitować.

Co ciekawe, Koehler i feministki zostają potraktowani życzliwie, podczas gdy Jarosław Maria Rymkiewicz, „człowiek mickiewiczowski”, opisany zostaje z ironicznym dystansem jako twórca utopii Polski – kraju mormonów. Wydaje się, że Walas bardziej ceni eksces, intelektualną przesadę, niż szlachetność, nawet jeśli stopień naiwności teje potrafi osłabić cytatami z samego zainteresowanego. To

## Iwasiów Apetyt na eksces

tym bardziej czyni jej poglądy mi bliskimi: ja także, choć doceniam niezwykłą erudycję Teresy Walas, podziwiam przede wszystkim dezynwolturę przekrojów i skorzeń. Polemiczny zapal wymierzony zostaje w książce raczej w tych, których autorytet wydaje się bezdyskusyjny, niż w tych, którzy mogliby okazać się o wiele łatwiejszym celem. Być może kryterium jest fortunność perswazyjna, której nie można odmówić dyskursom ideologicznie wyrazistym, podczas gdy u piewców tradycji niewątpliwej, nawet jeśli anachronicznej, stanowi ona towar deficytowy.

Najważniejszą dyskutantką książki Teresy Walas jest Maria Janion. W pewnym sensie książkę, a przynajmniej dwa pierwsze pomieszczone w niej szkice, można traktować jako zawieszoną w poetyce niedopowiedzeń, lecz bardzo zdecydowaną polemikę z tezą o zmierzchu paradygmatu romantycznego, proklamowanym przez autorkę *Kobiet i ducha inności* na początku lat dziewięćdziesiątych. Nieprzypadkowo wymieniam tę właśnie książkę – zaraz ten fakt wyjaśnię. Dyskusja z Janion jest mało wyrazista, bo choć cały wywód zdaje się zmierzać do obalenia jej tezy, nigdzie nie zostaje to wprost wypowiedziane. Obalenia, które nie ma na celu dowodzić, iż paradygmat romantyczny istnieje do dzisiaj; przeciwnie jego „śmierć”, a przynajmniej piękna agonია, zaczęła się w międzywojniu, osiągnęła apogeum w latach sześćdziesiątych. Mała stabilizacja i poezja Nowej Fali opisywały zjawiska, które były już odległe od romantycznych wskazówek co do życia zbiorowego i systemu wartości. Wypada się z tymi uwagami zgodzić. Zapewne intelektualiści, artyści, teoretycy literatury, może i (sic!) socjologowie są rasą dość oderwaną od rzeczywistości „zwykłego życia”, a zadawanie uczniom pytań „Wokulski: romantyk czy pozytywista” dowodzi tylko tego, że edukacja w komunizmie była równie mało pragmatyczna jak i dzisiaj. Zapewne spetryfikowane formy postromantycznego światopoglądu i poetyki, choć kofaczą się po literaturze i głowach Polaków, dawno zostały przywalone wynalazkami kultury masowej. Nieważne nawet, czy są to kontynuacje potrzeb i nawyków plebejskich, czy przeszczepy z Zachodu – na pewno zajmują przestrzeń większą od tej, jaką wywalczyć sobie może elitarystyczna kultura wysoka. Formy dziś dominującej zbiorowej wyobraźni nie powstały w ostatnim dziesięcioleciu, wystarczy przypomnieć prace Antoniny Kłoskowskiej z lat sześćdziesiątych; napisane językiem dla współczesnego czytelnika może nieco hermetycznym, w niczym nie ustępując słynnym diagnozom socjologów badających przełom tysiącleci. Czterdzieści lat temu było już widać, że ludzie wolą romanse i Myszkę Miki od śmierci za ojczyznę i Konrada Wallenroda. A sto lat temu? Czy nie czytali romansów? Nie mieli chochołów nad bohaterów?

Wydaje się, że w gruncie rzeczy spór nie istnieje, jako że mówiąc o zmierzchu paradygmatu mówimy raczej o prognozie, projekcie dyskursywnym, idei głoszonej przez intelektualistów. To oni proklamować mogą początki i końce, uznając własne euforie i zniechęcenia za ich widome znaki. O tym traktuje zresztą rozdział *Zawiazany język, czyli o milknięciu intelektualistów*. Paradygmaty można nazywać – czy można je przeżywać?

Walas pomija to, co ważne w intelektualnej biografii Marii Janion, a czego świadectwem jest książka *Kobiety i duch inności* (1996). Odwołanie romantyzmu zbiega

## Roztrząsania i rozbiory

się z nastaniem feminizmu. Oba mają miejsca wspólne, jednak badaczka w latach dziewięćdziesiątych chętnie mówiła o poczuciu niedosytu, jaki stwarzał jej dominujący, proromantyczny projekt. Tak więc, by dyskutować z jej „zmierzchem”, trzeba by widzieć go także jako otwarcie na „jutrzeńkę”, którą zapowiadają *Transgresje*, ale utrwalają książki i przedsięwzięcia na rzecz krytyki (i wspólnoty) feministycznej. Janion trafia w sedno pisząc o dyskursie i humanistycznych modach. Walas rozbiera dyskurs, ale chce też, by był lepiej słyszalny. Chce przezwyciężenia pesymistycznych diagnoz ponowoczesnych filozofów, lecz oni sami nie wierzą, by języki kultury/mowa intelektualistów mogły stać się czymś więcej ponad atrakcyjny lub nieatrakcyjny polilog. Ale czy mają rację? Czy „tekstualizacja komunikacji” – jeśli wolno użyć takiego dziwoląga w funkcji streszczenia teorii, które zdjęły z użytkowników bezpośrednią odpowiedzialność za słowo; pozornie detronizując ich, dały im miejsce w bezpiecznej niszy – nie jest tanim chwytem, choć filozoficznie dobrze brzmiącym i umocowanym? Czy nie należy domagać się tego, byśmy porozumiewali się w sprawach zasadniczych, korzystając z dobrodziejstw „giętkiego języka” intelektualistów? Czy język nie stwarza światów? Czy, wobec tego, jego choroba nie przenosi się na nasz świat społeczny, na nasze życie prywatne?

Jeśli nawet sama dyskusja z Janion nie może doprowadzić do jakiejś rewelatorskiej wizji (pokazania następstwa paradygmatów i założeń kolejnego), wiele argumentów w niej użytych należałoby zapamiętać. Bardzo ważny jest dla mnie wątek kanonu, obecny w dyskusjach od lat kilkunastu, tu powtórzonych i poszerzonych argumentacją polityczną, historyczną, socjologiczną. Dla kultury, powiada Walas, elementami stabilizującymi są: kanon, autorytet profesjonalizmu oraz instytucja sztuki. Wszystkie te kategorie przeżywały kryzys w polskiej demokracji. Decentralizacja, otwarcie kanonu, dopuszczenie do głosu tych, którzy dotąd byli spętani, przede wszystkim z powodów politycznych – rodziło nadzieje i patologie. Dyskusja to odbyta, jednak Walas znajduje dodatkowe argumenty, syntetyzuje wnioski. Wydaje się wierzyć w to, iż kanon został przynajmniej przewietrzony, w pracy rewindykacji politycznych, ideowych oraz w gestach otwarcia ma inność. Nie zgadzam się z tym twierdzeniem, ponieważ nie uważam, by obecna formacja dała się scharakteryzować przede wszystkim w kategoriach zasadniczego zerwania z historią PRL-u.

Co ważne, dla Teresy Walas PRL także nie jest czasem rozliczonym obiektywnie. Badaczka zwraca uwagę, iż o ile dokonaliśmy bilansu strat, utrwalaliśmy w sobie przekonanie, iż dziesięciolecie komunizmu to przede wszystkim czas cenzury i ograniczeń, o tyle – tu dokonuję uproszczenia – wielkie nakłady przyzwoitych powieści obok swoistego purytanizmu, eliminującego, czy przynajmniej ograniczającego wpływy pop-kultury, trudno traktować jako „zło” przeszłości. Mówienie o tych zjawiskach w kategoriach „zdobyczy” byłoby narażone na odrzucenie na tych samych zasadach, które uniemożliwiają używania słowa „socjalizm”. Na tych samych, które z feministek nawiązujących do przemyślenia problemu nierówności, czynią osoby podejrzane o odchylenie marksistowskie.

## Iwasiów Apetyt na eksces

Teresa Walas zdaje sobie sprawę, że jeszcze nie wiemy wszystkiego o PRL-u, a ideologia postkomunistyczna każe nam potępiać to, za co dalibyśmy dziś dużo (wspomniane nakłady książek i instytucjonalną pozycję autorów). Nie jest jednak skłonna pójść o krok dalej i zobaczyć tego, co dość oczywiste – przebudowa kanonu nie została wykonana. Lekka modernizacja, wyrzucenie paru socrealistycznych ramot nie zrobiło miejsca dla niczego, co byłoby odskocznią od podstawowego, czyli patriarchalnego wzorca. Oczywiście, być może kanon w ogóle nie jest ważny, zastępują go hybrydyczne listy lektur, jednak projekt Walas zdaje się zmierzać do jakiejś pozytywnej konstrukcji, której częścią powinna być także wspólnotowa historia literatury. Odwołajmy się do słów Jana Prokopa – jakaś „pozytywna tradycja”. Mówiąc szczerze, nie jestem w sprawie treści przekazywanych przez tą „wspólną tradycję” specjalną optymistką.

Być może dlatego, że na mapie kultury zarysowanej w *Zrozumieć swój czas* moje miejsce nie jest miejscem intelektualistki. Jestem niewątpliwie częścią marginesu – redaktorką prowincjonalnego dwumiesięcznika kulturalnego, feministką, przeciwniczką pravicowego dyskursu, pełną obaw przed „władzą-wiedzą”, skłonną do anarchizowania. I jako ktoś taki cieszę się, znajdując w książce intelektualistki wywód na temat dotkliwego dla mnie samej braku języka, w którym można by wyrazić problemy społeczne. Ten brak widzą w Polsce feministki, ale nie mają dość silnego głosu. W kategoriach politycznych można mówić o braku partii, która podjęłaby realistyczny dialog ponad uprzedzeniami. Partii, trzeba to powiedzieć wyraźnie, lewicowej. W dyskursie ten brak wydaje się tym bardziej symptomatyczny, że ziele z tekstów, które w przypisach umieszczają autorów na ogół wyraźnie zdeklarowanych politycznie. W polskiej nauce widoczny jest taki oto paradoks, że można powoływać się na Foucaulta i kojarzyć go ze światopoglądem katolickim. Nawet jeśli jest to fałszywe skojarzenie, można je uznać za poprawne politycznie. Poprawność polityczna w Polsce ma światopogląd pravicowy, w najlepszym razie liberalno-prawicowy.

Nie idzie o to, by miała lewicowy. Idzie o dyskursywne kłamstwa, zafalszowania, niską samoświadomość, brak otwartości. Czy to spadek po komunizmie? Rewizjonizm? (przepraszam za to słowo). A może *backlash* – pożyczmy termin od feministek. Narodowy *backlash*, bez mała sarmackie kontruderzenie, które rozkneblowanym wciska z powrotem knebel, znów wtłaczając nas w gorset neoezopowej mowy?

Maria Janion znalazła feminizm, wspólnotę kobiet. Teresa Walas stawia fundamentalne pytania. Jolanta Bracz-Czaina rozbudowuje swój projekt kobiecej hermeneutyki codzienności, swoich wizyt-u-bytu. Nie mogę nie odnotować wrażenia, że te kobiece, intelektualne ekscesy pobudzają apetyt na więcej. I nie chcę twierdzić, że na o wiele więcej niż męski kanon.

Inga IWASIÓW

<http://rcin.org.pl>